

Nie robiąc nic, też można stać po stronie zła - mówi Sarah Lund

**DAVID HEWSON**

# DOCHODZENIE

NA MOTYWACH ORYGINALNEGO SCENARIUSZA  
SØRENA SVEISTRUPA  
- NAJLEPSZEJ PRODUKCJI KRYMINALNEJ  
OSTATNICH LAT - SERIAŁU

**3**

**THE KILLING**





**ŚRODA\_  
9 LISTOPADA\_**

Zawsze przydzielali jej młodych. Ten akurat nazywał się Asbjørn Juncker, miał dwadzieścia trzy lata, właśnie odbył staż i został detektywem. Teraz z entuzjazmem przetrząsał wraki samochodów na zapuszczonym złomowisku na skraju doków.

– Tu jest ręka! – krzyknął, obchodząc rdzewiejącą skorupę dawno zmarłego volkswagena garbusa. – Ręka!

Madsen dowodził ekipą przeczesującą teren. Zerknął na Lund i westchnął. Asbjørn pojawił się w Politigården wprost z prowincji dzisiaj rano, z przydziałem do Wydziału Zabójstw. Kwadrans później, gdy Lund półuchem słuchała wiadomości – o kryzysie finansowym i zbliżających się znów wyborach parlamentarnych – zadzwonili ze złomowiska, że znaleźli ciało. A w zasadzie części ciała rozrzucone po całym terenie. Prawdopodobnie jakiś menel z pobliskiego obozowiska na nieczynnym nabrzeżu. Sforsował ogrodzenie, by coś ukraść, a potem zasnął w samochodzie. Zginął, gdy wrak trafił do chwytaka jednego z wielkich żurawi.

– Ciekawe miejsce na drzemkę – powiedział Madsen. – Chwytnak przeciął go na pół. Potem, zdaje się, został pocięty

trochę drobniej. Operator dźwigu pewnie zakrzuszył się kawą, widząc, co się dzieje.

Jesień powoli opuszczała Kopenhagę, poganiana przez zimę, która czekała na swoją kolej. Szare niebo. Szara ziemia. Szara woda z szarym statkiem stojącym nieruchomo kilkaset metrów od brzegu.

Lund nie znosiła tego miejsca. Kiedyś, przy okazji sprawy Birk Larsen, przyjechała tutaj szukać magazynu należącego do ojca zamordowanej dziewczyny. Teraz Theis Birk Larsen właśnie wyszedł z więzienia, gdzie odsiedział wyrok za zabicie człowieka, który jego zdaniem zamordował mu córkę. Słyszała, że wraca do przeprowadzek. Jan Meyer, jej były partner postrzelony w czasie śledztwa, nadal był inwalidą; pracował dla organizacji dobroczynnej niepełnosprawnych. Nie zbliżała się do niego ani do Birk Larsenów, chociaż sprawa wciąż nie dawała jej spokoju.

Spojrzała ponad ponurą wodą na stojący na kotwicy statek. Nieustannie krążyły wokół niej duchy, czasami coś poszeptując. Teraz też je słyszała.

– Nie zamierzasz chyba przyjąć tej posady w OPA, co? – spytał Madsen.

Politigården zawsze trzęsła się od plotek. W sumie wiadomo było, że to wycieknie.

– Dzisiaj dostaję medal za dwadzieścia pięć lat służby. Nie da się spędzić całego życia na mrozie, patrząc na poćwiartowane zwłoki.

– Brix nie chce cię stracić. Czasami jesteś potwornie upierdliwa, ale nikt nie chce. Lund...

– Co? – jęknął Juncker, gramoląc się przez wraki. – Będziesz całymi dniami liczyła spinacze?

OPA – Wydział Operacji, Planowania i Analiz – zajmował się nie tylko liczeniem spinaczy, ale nie chciało się jej o tym mówić. Coś w Junckerze przypominało jej Meyera. Tupet. Odstające uszy. I osobliwa, urażona niewinność.

– Powiedziano mi, że będę pracować z kimś dobrym... – zaczął młody policjant.

– Zamknij się, Asbjørn – przerwał mu Madsen. – Już to robisz.

– I chciałbym, żeby mówiono do mnie Juncker, nie Asbjørn. Wszyscy tu zwracacie się do siebie po nazwisku.

Znaleźli dotąd sześć części półnagiego ciała mężczyzny w średnim wieku. Ta przyniesiona przez Junckera była siódma.

Obok volkswagena stała stara taczka. Lund spytała szefa złomowiska o jej cenę. Trochę zaskoczony szybko jej jakąś podał. Wręczyła mu kilka banknotów i poprosiła Junkcera, by wsadził zakup do bagażnika jej wozu.

Wziął się pod boki.

– Spójrzy ktoś na moją rękę czy nie?

Drażliwy młodzieniec. Lund powoli się do niego przyzwyczajała. Dzisiaj wieczorem miał na kolację przyjść Mark ze swoją dziewczyną. Pierwsza wizyta w jej nowym domu, małej drewnianej chatce na obrzeżach miasta. Zastanawiała się, czy jej syn da radę, czy znajdzie kolejną wymówkę.

Juncker skinął na fotografa robiącego teraz zdjęcia w miejscu, skąd właśnie wrócił, po czym podniósł w górę palec jak chłopiec wyliczający kolejne punkty z listy.

– Nie ma dokumentów. Ale ma złotą obrączkę i kilka tutaży. A także pomarszczoną skórę, jakby leżał w wodzie. – Wskazał bezbarwny, apatyczny port. – Tam.

Lund spojrzała na człowieka od złomu, potem na opuszczony teren za pobliskim murem.

– To były kiedyś magazyny – powiedziała. – A teraz co to jest?

Miał smutną, inteligentną twarz. Zaskakującą w takim miejscu.

– To był jeden z głównych terminali Zeelandu. Magazyny były tylko ukłonem w stronę maluczkich. – Wzruszył ramio-

nami. – Niewielu już maluczkich. I mało kontenerów tu trafia. Większość zamknęli, gdy przyszedł kryzys. Z dnia na dzień poszło na bruk prawie tysiąc ludzi. Kiedyś kierowałem załadunkiem. Pracowałem tam, odkąd skończyłem szkołę...

Niechętnie o tym mówił. Zataszczył więc taczkę do samochodu Lund, otworzył bagażnik i położył ją obok kilku krzewów różanych w donicach.

– Leżał w wodzie. Ma tatuaże – powtórzył Juncker. – A na ramieniu ślady jak po nożu.

Na pobliskim parkingu starej stoczni powstało obozowisko bezdomnych – jakieś bezładne konstrukcje z blachy falistej, rdzewiejące ciężarówki i przyczepy kempingowe. W czasach, gdy tropiła mordercę Nanny Birk Larsen, jeszcze go nie było.

– To włóczęga, który się tu przyszwendał, szukając łatwego łupu – wtrącił Madsen. – Zrobimy zdjęcia. Możesz spróbować napisać raport, jeśli chcesz. Sprawdzę go.

To się Junckerowi zupełnie nie podobało.

– Będą kłopoty, jeśli ktoś uzna, że się tu objamamy – powiedział.

– Dlaczego? – spytała Lund.

– Politycy nadciągają. – Ruchem głowy wskazał kierownika złomowiska, który przyglądał się bacznie roślinom Lund, na pozór niewzruszony. – On mi powiedział. Mają sesję zdjęciową z tymi wszystkimi bezdomnymi.

– Bezdomni nie mają praw wyborczych – burknął Madsen.

– Nie mają też złotych obrączek – zauważył Juncker. – Słyszeliście, co powiedziałem? Grube ryby jadą pogadać z sierotami po stoczni. Ma być nawet Troels Hartmann. Za godzinę.

Duchy.

Właśnie przypomniał o sobie następny. Hartmann – podejrzany w sprawie Birk Larsen, człowiek, który przez ambicję i arogancję niemal zniszczył sobie karierę. Meyer mówił o nim „chłopiec z plakatu”. Teflonowy przystojniak kopenhaskiej polityki. Gdy tylko został oczyszczony z podejrzeń, odniósł nie-

wiarygodne zwycięstwo w wyborach na burmistrza. Dwa i pół roku później, po kampanii zdominowanej przez gorzkie słowa o upadającej gospodarce, okazał się zwycięzcą w wyborach parlamentarnych, został premierem z ramienia Stronnictwa Liberalnego i szefem nowej koalicji.

– Hartmann brał udział w tej twojej wielkiej sprawie – dodał Juncker. – Pamiętam.

Można by pomyśleć, że to było wczoraj.

– Pracowałeś już wtedy? – spytała bez namysłu.

Asbjørn Juncker roześmiał się głośno.

– Pracowałem? To było wieki temu. Czytałem o tym w szkole. Jak sądzisz, dlaczego wstąpiłem do policji? To chyba...

– Sześć lat – wtrącił Madsen. – Ni mniej, ni więcej.

Długich lat, pomyślała Lund. Niedługo będzie obchodzić czterdzieste piąte urodziny. Miała własne, niewielkie cztery kąty. Nudne, proste, klasztorne życie. Musiała odbudować relacje z synem. Nie potrzebowała gorzkich wspomnień z przeszłości. Ani świeżych koszmarów na przyszłość.

Powiedziała Madsenowi, żeby dalej szukał i dopilnował, by nic nie przeciekło do mediów ani nadjeżdżającego cyrku politycznego. Następnie pojechała do Politigården – z małym drzewkiem laurowym podskakującym na podłodze przed fotelem pasażera – przebrała się w mundur, niebieską koszulę, granatową kurtkę, i patrzyła na innych, którzy podobnie jak ona przybywali tu po medale za wieloletnią służbę. Wydawali się Lund o wiele starsi od niej.

Przyszedł Brix, by pogłędzić o jej posadzie w OPA.

– Jesteś mi potrzebna tutaj. – Szef Wydziału Zabójstw, wysoki mężczyzna o poważnej, szczupłej twarzy, zmierzył ją spojrzeniem. – Nie wyglądasz dobrze w tym stroju.

– Mój strój, moja sprawa. Dasz mi dobre referencje? – Bardzo ją to niepokoiło. – Wiem, że niektóre sprawy z przeszłości im się nie spodobają. Nie musisz się nad nimi rozwódzić.

– OPA to miejsce, gdzie można w spokoju doczekać emerytury. Dla tych, którzy już sobie odpuścili. Ty nigdy...

– Tak. Wiem.

Mruknął coś, czego Lund nie dosłyszała. A głośniejsze dodał:

– Masz źle zawiązany krawat.

Lund zaczęła poprawiać węzeł. Brix – jak zawsze w nieskazitelnym markowym garniturze, świeżo wyprasowanej koszuli – chodząca doskonałość. Im bardziej się jej przyglądał, tym krawat bardziej nie chciał dobrze leżeć.

– Czekaj – powiedział i w końcu zrobił to za nią. – Pogadam z nimi. Popędziasz błęd. Wiesz o tym?

Drakkar – posępny zamek z czerwonej cegły – był kiedyś pałacikiem myśliwskim mniej znaczących członków rodziny królewskiej. Potem kupił go dziadek Roberta Zeuthena, powiększył i nadał swojemu dziełu nazwę na cześć smoczodziobych langskipów wikingów. Człowiek oddany idei założenia dynastii uwielbiał swoją twierdzę w głębi lasu, jej przerysowane blanki i rozległe wypielegnowane tereny biegnące do dzikich leśnych ostępów i morza. I zdobył rzygacz, który zamontował od strony morza, w kształcie zwycięskiego smoka, symbol firmy, pod którą położył podwaliny.

Ocean zawsze był bliski myślom twórcy Zeelanda. Zacząwszy jeszcze w XIX wieku, Zeuthen przeobraził niewielką rodzinną firmę przewozową w międzynarodowe imperium z flotyllą liczącą tysiące statków. Hans, ojciec Roberta, gdy odziedziczył firmę, też stawiał na rozwój i ekspansję. Finanse i firmy informatyczne, działalność doradcza, hotele i biura podróży, nawet krajowa sieć domów towarowych także działały pod logo Zeelanda: trzy fale pod smokiem Drakkaru.

Zanim Hans Zeuthen umarł, a stało to się niedługo przed objęciem przez Troelsa Hartmanna urzędu premiera, jego rodzina dorobiła się stałej pozycji w życiu społecznym kraju,



w rzeczywistości gospodarczej i politycznej. I wtedy firma nominalnie trafiła w ręce jego syna, głównego właściciela i przewodniczącego rady nadzorczej korporacji.

Robert, trzecie pokolenie przedsiębiorców, był ulepiony z zupełnie innej gliny. Spokojny, introwertyczny czterdziestolatek chodził właśnie po lesie okalającym rodzinną posiadłość, szukając swojej dziewięcioletniej córki Emilie.

Gęsty las, nagi zimą. Zeuthen dziarskim krokiem szedł między drzewami po dywanie brązowych jesiennych liści, wołając córkę. Głośno, ale bez złości. Objęcie tronu Zeelanda nie obyło się bez kosztów. Półtora roku temu odeszła od niego żona, Maja.

Właśnie się rozwodzili. Od jakiegoś czasu mieszkała z lekarzem z największego szpitala w mieście, a Zeuthen odgrywał rolę samotnego ojca, zajmując się Emilie i jej sześciolletnim bratem Carlem – na tyle, na ile pozwalała mu umowa separacyjna i nieustanna praca.

Hans Zeuthen przeżył okres wzrostu gospodarczego i prosperity. Jego syn nie doświadczył ani jednego, ani drugiego. Recesja i porażki biznesowe mocno osłabiły kondycję Zeelanda. Firma od czterech lat zwalniała pracowników i nadal nic nie zapowiadało poprawy sytuacji. Sprzedano kilka spółek zależnych, inne po prostu zamknięto. Rada nadzorcza się niepokoiła. Inwestorzy wprost wyrażali wątpliwość, czy aby na pewno losy przedsiębiorstwa powierzono właściwej osobie.

Robert Zeuthen zastanawiał się, czego jeszcze oczekiwali. Krwi? Za kryzys zapłacił małżeństwem. Bezcenną więzią rodzinną. Nic innego już oddać nie mógł.

– Emilie? – krzyknął znowu.

– Tato. – Carl podszedł do niego cicho, ciągnąc swojego dinozaura. – Dlaczego Dinuś już nie mówi?

Zeuthen skrzyżował ramiona na piersi i popatrzył na syna.

– Może dlatego, że wypuściłeś go z okna swojego pokoju? Żeby sprawdzić, czy umie latać?

– Nie umie – skwitował Carl z niewinną miną.

Ojciec zmierzwił malcowi włosy i pokiwał głową. Potem znowu zawołał córkę. Jeszcze jeden dzień i dzieci wrócą do matki. Znowu będzie musiał pożegnać wszystko, co miał najlepszego. Również Maję.

Spomiędzy drzew wypadła rozpedzona postać. Niebieski płaszczyk, różowe kalosze, jej nogi frunęły w powietrzu podobnie jak blond włosy. Emilie Zeuthen pędziła ku niemu ile sił, aż rzuciła mu się na szyję z szeroko rozłożonymi rękami i figlarnie roześmianą śliczną buzią.

Tak jak zawsze niemal od chwili, gdy nauczyła się chodzić. Czyli: złap mnie, tatusiu. Złap mnie.

I złapał.

Kiedy przestał się śmiać, pocałował jej zimny policzek i powiedział:

– Pewnego dnia cię nie złapię, córeczko. I spadniesz.

– Nieprawda, złapiesz mnie.

Miała taki jasny, przenikliwy głos. Bystre dziecko. Dojrzałe ponad wiek. Emilie przysparzała Carlowi kłopotów. Podobnie jak służbie Drakkara, chociaż nie kochali jej przez to mniej.

– Złapiesz, złapiesz – powtórzył Carl i wziął dinozaura, by dla zabawy ugryźć go w nogę.

– Kiedy będę miała kotka? – spytała Emilie, obejmując go za szyję i wpatrując się w niego intensywnie niebieskimi oczyma.

– Gdzie byłaś?

– Na spacerze. Obiecałeś.

– Powiedziałem, że będziesz mogła mieć zwierzątko. Każde, tylko nie kotka. Muszę porozmawiać o tym z mamą. Między nami...

Twarz jej zmarkotniała. Carlowi też. Zeuthen nigdy sobie nie wyobrażał, że straci Maję; i ich dwoje trochę także. Nie miał pojęcia, co im powiedzieć na pocieszenie. Nie przychodziły mu do głowy żadne słowa.

Wziął więc dzieci za rękę i powoli poszli razem do domu – Carl po jego lewej stronie, Emilie po prawej.

Niels Reinhardt czekał na podjeździe w swoim czarnym mercedesie. Jeszcze jedna spuścizna po zmarłym ojcu. Reinhardt był asystentem rodziny, łącznikiem pomiędzy Zeuthenami a radą nadzorczą; od zawsze, czyli jeszcze w czasach, gdy Robert sam był dzieckiem, załatwiał wiele spraw, nawet nadzwyczaj trudnych i wymagających kontaktów towarzyskich. Teraz miał sześćdziesiąt cztery lata; był wysoki i sympatyczny, zawsze pod krawatem, zawsze gotów pełnić obowiązki.

W ręku trzymał gazetę. Zeuthen już widział artykuł. Pisali, że Zeeland nie dotrzyma obietnic złożonych rządowi Hartmanna i przeniesie swą siedzibę poza granice Danii.

– Skąd wzięli te kłamstwa? – spytał Zeuthen.

– Nie wiem – odparł Reinhardt. – Poinformowałem radę nadzorczą, że chcesz natychmiast zwołać zebranie. Ludzie Hartmanna szaleją. Oczywiście dostają zapytania od prasy.

Robert dostrzegł Maję stojącą na schodach prowadzących do domu. W zielonym skafandrze i džinsach. Poznali się na studiach. Zakochali prawie natychmiast, tak jakoś naturalnie. Nie wiedziała wcześniej, kim jest, a gdy się dowiedziała, nie bardzo się tym przejęła. Był sztywnym i nieśmiałym bogatym chłopcem. A ona była piękną blondynką, córką uroczych hipisów, którzy prowadzili gospodarstwo ekologiczne na Fionii.

W zasadzie nigdy się nie kłócili; dopiero gdy zmarł jego ojciec, a okoliczności zmusiły go do przejęcia steru Zeelanda...

Maja zeszła po schodach. Twarz, którą kiedyś pokochał, przesłoniły gniew i uraza.

Reinhardt, obdarzony świetnym wyczuciem, wziął dzieci za rękę, powiedział coś o poszukaniu suchych butów i wprowadził je do domu.

– Co to jest? – spytała, wyciągając z kieszeni kurtki złożoną kartkę.

Były na niej zdjęcia pręgowanego kociaka. Czyjeś rączki głaszczące jego futerko. Na jednym zdjęciu Emilie przytulała stworzonko do brzucha, promiennie uśmiechając się do obiektywu.

Zeuthen pokręcił głową.

– Byłam w szkole, Robercie! Ona w zeszłym tygodniu zachowywała się bardzo dziwnie. Nie rozmawiała ze mną. Jakby miała jakiś sekret.

– Ja bym powiedział, że nic jej nie jest.

– Skąd wiesz? Ile czasu z nią spędzasz, gdy jest u ciebie?

– Tyle, ile mogę – odparł i nie kłamał. – Powiedziałem jej, że nie może mieć kota...

– Skąd więc go wzięła? Ma alergię na koty.

– Kiedy dzieci są ze mną, każdą godzinę spędzają pod nadzorem, bez względu na to, czy jestem obecny, czy nie. Wiesz przecież. Może spytasz swoją matkę? Nie musiałaś tu przyjeżdżać z tą sprawą. Mogłaś zadzwonić.

– Przyjechałam, żeby je zabrać.

– Nie – odrzekł Zeuthen. – Mamy plan opieki. Do ciebie wracają jutro. I ja je odwiozę.

Reinhardt z dziećmi wrócili do nich. Niels wyglądał, jakby miał coś ważnego do przekazania. Zeuthen podszedł do niego czym prędzej. Ludzie Hartmanna domagali się oświadczenia. Rada nadzorcza miała się zebrać w ciągu godziny.

– W dokach, nieopodal naszego obiektu, znaleziono ciało – dodał.

– Ktoś z naszych ludzi?

– Nic na to nie wskazuje, Robercie.

To się stało tak szybko, że Zeuthen nic nie zdążył zrobić. Maja minęła go, podeszła do córki i wzięła ją za ręce.

– Powiedz mi wszystko o tym kocie – zażądała stanowczo. Dziewczynka próbowała się cofnąć.

– Emilie! – wrzasnęła Maja. – To ważne!

Zeuthen pochylił się i wyjaśnił łagodnie:

– Mama musi wiedzieć. Ja też. Czyj to kot? No?

Nagle ubyło jej lat. Znowu stała się niepewnym, przebiegłym dzieckiem. Nic nie powiedziała. Siłowała się z matką, gdy ta podciągała rękawy jej niebieskiego płaszczyka.

Czerwona skóra, obrzmiała i spuchnięta.

Podniosła dziewczynce sweter. Na brzuchu zobaczyła równie wyraźne ślady.

– Tu jest kot – warknęła Maja. – W co ty, do diabła, grasz? Zabieram ją do szpitala.

Dopóki w ich małżeństwie nie zaczęło się psuć, nie miał okazji poznać jej wybuchowego usposobienia. A teraz proszę, znowu się prezentowało w całej okazałości: głośne i napastliwe.

Carl zasłonił uszy rączkami. Emilie stała sztywna i milcząca, z poczuciem winy. Reinhardt powiedział coś o przełożeniu spotkania rady nadzorczej, ale Zeuthen go nie słuchał.

Obowiązki. One nigdy nie odpuszczają.

Zeuthen przykucnął, spojrział córce w oczy.

– Gdzie jest ten kot, Emilie? – spytał. – Powiedz, proszę...

– To już chyba nieistotne, prawda? – krzyknęła Maja. – Później to załatwię. Teraz ona jedzie do szpitala...

Emilie Zeuthen zaczęła płakać.

Troels Hartmann lubił okres kampanii wyborczej. Zwłaszcza jeśli za przeciwnika miał lewicowego gadułę w rodzaju Andersa Ussinga. Świat duńskiej polityki był kotłującą się mieszaniną małych partii walczących o prawo do zawierania sojuszu z przeciwnikami i zdobywania niewielkiej władzy dla siebie. W obecnym układzie jedynie liberałowie Hartmanna i socjaliści Ussinga mieli szansę zdobyć liczbę głosów niezbędną do obsadzenia stołka premiera.

Ich słupki w sondażach miały podobną wysokość. Jedno potknięcie mogło bez trudu podbić wynik przeciwnika. Po-

tknięcia jednak, zdaniem Hartmanna, bardziej można by się spodziewać po krzykaczu Ussingu niż po nim, uważnie prowadzonym przez doradców. Morten Weber, przebiegły organizator kampanii, który kiedyś zapewnił mu stołek burmistrza Kopenhagi, podążył za nim do Christiansborgu. Skaptował Karen Nebel, zręczną doradczynię do spraw mediów, która wcześniej zajmowała się tematami politycznymi w jednej z państwowych stacji telewizyjnych. Tak dobrej ekipy Hartmann nie miał jeszcze nigdy. A w dodatku w rękawie chował kilka asów, chociaż słuchając Ussinga próbującego podburzyć ludzi przybyłych na wiec w zapuszczonym terminalu Zeelandu, zastanawiał się, czy w ogóle będą mu potrzebne.

Jak na każdym zebraniu w zakładzie przemysłowym: urzędniczki, grupka krzepkich dokerów w kaskach, paru marynarzy – niewielu naprawdę zainteresowanych polityką, ale zawsze chętnych do przerwy w pracy. Podium zainstalowano na pace pick-upu, obok dwóch lśniących beczek w otwartym hangarze pod przerdzewiałym dachem. Ekipy telewizyjne ustawiono z przodu, za nimi łukiem usadzono reporterów wiadomości.

Ussing recytował tę samą starą śpiewkę, którą powtarzał od początku swej kampanii.

– Ten rząd skazuje na śmierć głodową zwyczajnych obywateli Danii, by napełnić kieszenie bogaczy, którzy go finansują.

Hartmann patrzył prosto w kamery telewizyjne, uśmiechał się i kręcił głową.

– A dzisiaj – grzmiał Ussing, jak przystało na szefa związków zawodowych, którym kiedyś był – zobaczmy, co dała nam słabość Hartmanna.

Podniósł w górę poranną gazetę z nagłówkiem o Zeelandzie porzucającym kraj dla nowej niskopodatkowej bazy na Dalekim Wschodzie.

– Do eksodusu dołącza właśnie jeden z naszych największych pracodawców. Podczas gdy Hartmann wciska nam ustawę, oni przenoszą miejsca pracy do Azji.

Pomruk aprobaty. Poruszenie wśród białych kasków. Hartmann podniósł mikrofon.

– Dobra polityka przemysłowa jest dobra dla wszystkich, Anders. Jeśli Zeeland będzie zadowolony, zatrudni więcej Duńczyków...

– Już nie! – wrzasnął Ussing, uderzając gazetą. – Przymykałeś oczy na ich monopole. Podlizywałeś się im przywilejami podatkowymi i dotacjami naftowymi...

Do roboty ruszyli podżegacze. Nagrodzono go paroma wiatami i pojedynczymi oklaskami.

– Jedyne podlizywanie, jakie tu widzę, to twoje – przerwał Hartmann. – Gładkie słowa. Nieodpowiedzialne. Mamy ci uwierzyć, że problem zniknie za sprawą kilku słodkich słów, gdy tymczasem będziesz cichaczem sięgał do kieszeni zwyczajnych Duńczyków i pozbawiał ich resztek pieniędzy.

Hartmann potoczył wzrokiem po zebranych. Stali cicho. Słuchali.

– Wiem, że to trudne. Zbyt długo czytamy o zwolnieniach i bankructwach. O ulatniających się bez śladu osobistych oszczędnościach. – Długa chwila ciszy. Czekali. – Gdybym miał czarodziejską różdżkę, czy bym jej nie użył? Taka jest rzeczywistość. Nie tylko w Danii. Wszędzie. Wybór, którego macie dokonać, jest prosty. Czy rozwiązujemy te problemy teraz? Czy przekazujemy ten bałagan swoim dzieciom?

Wskazał na mocno zbudowanego rudego mężczyznę obok.

– Jeśli chcecie się uchylić od odpowiedzialności, głosujcie na Andersa Ussinga. Jeśli macie odwagę ją dźwigać, wybierzcie mnie.

Spodobało im się. Ussing wziął do ręki mikrofon.

– Zatem kiedy Zeeland biadoli w gazetach, że musi przenieść siedzibę, ty dasz im więcej pieniędzy? Tak, Troels? Tak to widzisz? Kolejna łapówka dla twoich kumpli....

– Jeśli zapewnimy przedsiębiorstwom odpowiednie warunki rozwoju, sprzyjający klimat, miejsca pracy zostaną w kraju – odparł stanowczo Hartmann. – Nasza polityka przemysłowa stawia na rozwój. Ale są pewne ograniczenia. Siedzimy w tym razem. Każdy musi coś wnieść, bo każdego dotyczą te problemy. Również Zeelanda. – Położył rękę na sercu i powtórzył ostatnie słowa: – Również Zeelanda.

Gdy wychodził, zebrani klaskali. Karen Nebel była wyraźnie niezadowolona.

– Prosiłam wyraźnie – powiedziała, gdy szli do samochodu – żebyś trzymał się z dala od sprawy Zeelanda.

– Co miałem zrobić? Przycisnął mnie. Nie mogę ignorować takich pytań. Zeeland musi złożyć oświadczenie, zdementować doniesienia tego artykułu.

Była wysoką blondynką o włosach zaczesanych do tyłu i napiętej, pomarszczonej twarzy. Czasami snuła intrygi, ale radził sobie z tym.

– Złożą oświadczenie, prawda, Karen?

– Ciągle zostawiam wiadomości. Nikt nie oddzwania. Myślę, że coś jest na rzeczy.

– Wyciągnij to z nich – rozkazał. – Mamy właśnie klepnąć umowę z ludźmi Rosy Lebech. Nie chcę, by cokolwiek stanęło nam na drodze.

Skrzywiła się na wzmiankę o przewodniczącej Partii Centrum.

– Tu obok jest obozowisko bezdomnych – powiedziała. – Umówiłam tam spotkanie.

– Jeśli mogę z kimś pogadać, to OK. Sama sesja zdjęciowa mnie nie interesuje.

Dotarli do samochodu. Ona otworzyła mu drzwi.

– Troels. To są bezdomni. Zdjęcia to jedyny powód, dla którego tu jesteśmy.

Zadzwoił telefon Hartmanna. Zerknął na numer i odszedł, by porozmawiać na stronie.



– Właśnie widziałam cię w telewizji, skarbie. Gdybym nie przewodziła innej partii, miałbyś mój głos.

– I tak poproszę – odparł Hartmann. – Musimy dopiąć umowę, Roso. A potem muszę się z tobą spotkać. W jakimś ustronnym miejscu. – Rozejrzał się dla pewności, że nikt go nie słyszy. – Z wielkim mosiężnym łóżkiem.

– O Boże. I z twoimi płytami Dylana.

– Najpierw umowa.

– Poprzemy twoją kandydaturę na stanowisko premiera. Ale musimy wiedzieć, że panujesz nad Zeelandem.

Roześmiał się.

– Chyba nie wierzysz Ussingowi, co? Ani temu, co dzisiaj napisał ten durny szmatławiec?

– Później o tym pogadamy – odparła Rosa Lebech.

I rozłączyła się.

Nim zdążył uporządkować myśli, podeszła Karen Nebel z informacją, że odwołała wizytę w obozowisku bezdomnych. Towarzyszył jej człowiek z ochrony. Powiedział, że tuż obok znaleziono zwłoki.

– Zdaniem PET może wystąpić jakieś zagrożenie. Zawiódł system zabezpieczeń czy coś. Uważają, że...

– Nie dostarczę Ussingowi kolejnej partii amunicji – przerwał jej Hartmann. – Wpisz to na dzisiaj, później. Chyba że PET znajdzie coś konkretnego.

– Kto dzwonił?

Zastanowił się nad odpowiedzią.

– Mój stomatolog – odparł. – Zapomniałem o wizycie. – Wzruszył ramionami i zaprezentował uroczy uśmiech Hartmanna. – Wybory. Ciągle w czymś przeszkadzają.

W krawacie było jej niewygodnie. Koszula pamiętała lepsze czasy. Brix zorganizował całą ceremonię i nie wiedzieć po co ściągnął policyjną orkiestrę dętą. Stali w kącie, dysząc i dmuchając w trąbki; hałasowali niczym banda pijanych słoni.

Próbowała być grzeczna, słuchając kombatanckich opowieści snutych przez starego policjanta z prowincji, czekała, aż zacznie się ceremonia. Nagle zadzwoniła jej komórka.

Lund odeszła, by ją odebrać.

– Mówi Juncker. Ciągle jestem w porcie.

– Cześć, Asbjørn.

Milczał chwilę.

– Technicy rzucili okiem na szczątki – rzekł wreszcie. – Są pewni, że to zabójstwo. Ten człowiek nie żył w chwili, gdy chwycił go dźwig. Zatluczono go młotkiem do wyciągnięcia gwoździ. Wygląda na to, że facet zszedł ze statku i koleś dopadł go na złomowisku. Potem wepchnął go do tego wraku. Rozmawialiśmy z tutejszymi bezdomnymi. O niczym nie mają pojęcia. W Zeelandzie też nie wiedzą o żadnym zaginięciu.

– I tyle?

– Ktoś widział w pobliżu ślizgacz. Sądzi, że goni fokę.

– Po co ktoś by miał gonić fokę? – spytała, podchodząc do okna i wyglądając na zewnątrz.

– Strażnicy przybrzeżni mówili, że odebrali połączenie około drugiej trzydzieści w nocy, ale je przerwano. Nie wiedzą, kto dzwonił. Niedługo później w pobliżu złomowiska krążyła ta wyścigówka.

Lund zadała oczywiste pytanie:

– Czy ze stojących w pobliżu statków wpłynęło zgłoszenie o zaginięciu marynarza?

Juncker odrzekł, że nie.

– Pewnie już wyszedł z portu – powiedziała. – Musisz zebrać dane o ruchach statków.

– Jakich ruchach? Tę część portu Zeeland w zasadzie zamknął. I jeszcze jedno... – urwał na chwilę, jakby szukał ustronnego miejsca – kolesie z PET tu węższą. Co oni mają wspólnego z tą sprawą?

– Wszystko w porządku, Asbjørn. To też ludzie.

– Nigdy nie będziesz do mnie mówić Juncker, co?  
– Pogadaj z Madsenem. Zrób, co ci każe. Ja jestem zajęta...  
– Jeden facet z PET chce z tobą zamienić słowo. Niejaki Borch. Odniosłem wrażenie, że cię zna. Już podchodzi.

Lund nic nie powiedziała.

– Halo?! – spytał Juncker po drugiej stronie. – Jesteś tam?  
– Pogadaj z Madsenem – powtórzyła Lund, skończyła rozmowę, popatrzyła na długi korytarz, zastanowiła się, ile jeszcze duchów wypełni z cienia.

Nie miała pojęcia, czym Mathias Borch się teraz zajmuje. Domyślała się, że czymś ważnym. Był bystry, udowodnił to, kiedy się poznali, ponad dwadzieścia lat temu, jeszcze w szkole policyjnej. Teraz wyglądał na nieco podłamanego i zmęczonego. Ale wciąż nie był łysy, włosy miał jak zwykle nieuczesane i pomarszczoną twarz młodego bokserka.

Pieseczek.

Tak się do niego kiedyś zwracała. Na to wspomnienie musiała się oczywiście zarumienić akurat w chwili, gdy podszedł, nie uśmiechając się, a nawet nie patrząc jej w oczy.

– Sarah... – powiedział. – Musimy pogadać. O zwłokach w porcie. Ten młody od was mówi...

– Cicho. – Lund podniosła dłoń. Następnie wskazała drzwi. Brix właśnie zaczynał przemowę. Słyszała, jak podkreśla siłę korpusu i że jego integralność leży u podstaw sprawiedliwości i bezpieczeństwa Kopenhagi.

– Milion razy to wszystko słyszałem – burknął Mathias. – Mam ważną...

Lund zakłęta pod nosem i zabrała go do kuchni.

– Przepraszam, że przeszkadzam ci w takim dniu – powiedział. – To znaczy wiesz... gratulacje i tak dalej.

– Nie przesadzaj.

– Dobrze wyglądasz. Naprawdę. A jak się czujesz?

– Czego chcesz?

– Jestem zaangażowany w tę sprawę. Muszę wiedzieć, co znaleźliście.

– Nic. Nie mamy nic absolutnie.

– A przeszukaliście doki? I statki?

– Sprawdzamy. Jest tylko jeden statek. Juncker nawiązał z nimi kontakt przez radio. Nic nie widzieli.

Ściągnął brwi. Teraz Pieseczek wyglądał na swoje lata.

– Spodziewałem się czegoś więcej...

– Słuchaj! Od lat z tobą nie rozmawiałam. Nagle się tu zjawiasz, kiedy właśnie mam odebrać medal za wieloletnią służbę, i zasypujesz mnie pytaniami. Wracam do sali...

– Pracuję w PET. Nie wiedziałaś?

– A skąd miałabym wiedzieć?

– Naszym zdaniem jest w tym coś więcej. Dwa tygodnie temu w porcie dokonano włamania. Wyglądało na zwykłą kradzież. Zniknął komputer, jakieś drobiazgi. Szczegóły systemu zabezpieczeń Zeelanda...

– Czy to aby nie ich problem?

Wpatrywał się w nią. To nie było za mądre pytanie. Zeeland był wielkim międzynarodowym koncernem. Miał powiązania z władzą, miał wpływy w rządzie i nie tylko.

– Co to ma wspólnego z naszym człowiekiem w kawałkach? – spytała.

– Z ostatniej nocy brakuje nagrań monitoringu. Dwie minuty po tym niedoszłym wezwaniu straży przybrzeżnej wyłączyły się wszystkie kamery, co do jednej. Ktoś włamał się do systemu, monitoring pokazywał wciąż stare nagranie, a potem, przed świtem, znowu się wyłączył.

Borch wziął kanapkę z tacy przekąsek przygotowanych na spotkanie i ugryzł kawałek.

Brix umilkł. Zbliżał się moment wręczania odznaczeń i dyplomów.

– Zostaw mi swój numer – powiedziała. – Będziemy w kontakcie.

Zatrzymał ją, gdy próbowała odejść.

– Ktoś wyłączył jeden z najgenialniejszych systemów bezpieczeństwa w kraju. Kiedy go włączono, w porcie leżał martwy człowiek. Tego samego dnia w pobliżu miał przebywać premier. Kryzys finansowy. Afganistan... – Roześmiał się.  
– Wściekli zazdrośni mężowie. Hartmanna tyle samo ludzi kocha, ilu nienawidzi.

– Przekażę to.

– Nie chcę, żebyś to przekazywała. Chcę, żebyś prowadziła sprawę. Brix już się zgodził...

– Nie wątpię.

– Jesteś za dobra do OPA.

– Słuchaj! Nikt nie zgłosił zaginięcia. Istnieje możliwość, że to cudzoziemiec, marynarz z zagranicznego statku, który opuścił już nasze wody terytorialne.

– I tak chcę, żebyś prowadziła tę sprawę. Brix też tego chce.

Z sali obok dobiegły oklaski i śmiech. Wręczano odznaczenia i dyplomy. Nie mogła tak po prostu się tam teraz wpa-  
kować.

– Naprawdę dobrze wyglądasz – powiedział, jakby trochę zakłopotany. – Ja... – Wzruszył ramionami, a ona przypomniała sobie, jak wyglądał w akademii, z tym swoim czarnym humorem i żałosnymi dowcipami. – Ja się po prostu zestarzałem.

Chciała na niego wrzasnąć. Wykrzyzczyć coś.

– Nie mogę pobrudzić galowego munduru – powiedziała.

– Później mam rozmowę kwalifikacyjną.

Siedziba Zeelanda znajdowała się nad wodą nieopodal portu. Nowoczesny monolit z czarnego szkła z firmowym smokiem wielkości sześciu górnych kondygnacji otaczały place budowy zamieniające port w dzielnicę tanich domów. Te, jako jedne z niewielu artykułów, wciąż się sprzedawały.

Robert Zeuthen zaparkował swojego lśniącego nowością range rovera przed budynkiem. Reinhardt czekał w holu

Listopad. Dania w kryzysie. Od pamiętnej sprawy Nanny Birk Larsen minęło sześć lat. Troels Hartmann – ówczesny zwycięski kandydat na burmistrza – jest już premierem. Przed nim finisz kolejnej kampanii wyborczej. Nowe niełatwe koalicje. I trudne rozmowy z właścicielami wielkiej rodzimej korporacji Zeeland. Tymczasem z pilnie strzeżonej posiadłości właściciela Zeelanda, Roberta Zeuthena, znika jego dziewięcioletnia córeczka Emilie.

Czy Sarah Lund i jej dawny chłopak zdołają ocalić dziewczynkę?

Wiele śladów prowadzi do Christiansborgu, gdzie karty rozdają dbający o pozory bezwzględni ministrowie i doradcy premiera, a kłamstwo i milczenie prowadzi do niejednej tragedii.

„Nie istnieje wygodne miejsce pomiędzy dobrem a złem. Trzeba wybrać między jednym a drugim” – przypomina Sarah Lund, której wciąż kojarzy się sprawa Nanny i jej rodziców. Tym razem o swoją córkę walczyć będzie rodzina z pierwszych stron gazet. Czy dzięki temu zadanie będzie łatwiejsze?



PATRONAT MEDIA LNY

**BOOKLIPS.PL IIIII**